

ARCHIWUM

Teatr w Jeleniej Górze, którego
w Jeleniej Górze

Nr. **231**

SCENA DOLNOŚLĄSKA

1962-1963

3

PAŃSTWOWE TEATRY DOLNOŚLĄSKIE
JELENIA GÓRA — WAŁBRZYCH

Dyrektor i kierownik artystyczny:
ZDZISŁAW GRYWAŁD

W-Dyrektor:
ROMAN SZPORTUN

Kierownik literacki:
HENRYK JONEK

Zeszyt trzeci

wydany z okazji premiery
ESTRADY POETYCKIEJ
I. K. GAŁCZYŃSKIEGO

„Szekspir i chryzantemy“

Sezon 1962—1963



Wypadłeś z szyn.
Tylko wiersze two zostały nam teraz.
Ale poezja to piękny czyn.
Poezja nie umiera.



THE
LIBRARY OF THE
MUSEUM OF NATURAL HISTORY
AND
ZOOLOGY
OF THE
CITY OF LONDON
1871

K. I. Gałczyński

SZEKSPIR I CHRYZANTEMY

Kiedy nocą odpływał okręt do Arabii,
od fajerwerków huczną a od bólu niemą,
długo jeszcze z pokładu twoje oko wabił
lunatyczny kochanek z białą chryzantemą.

Nie wierz temu kwiatowi: kochanek cię zdradza,
„prądem rzek obojętnych niesion w ujścia stronę“ —
choć zielone twe oczy i usta czerwone,
jak nad tobą jest jego, nad nim inna władza.

Morze to teatr z wody i na tym teatrze
pójdzie grać swoją sztukę pośród trąb Szekspira —
ty jesteś taka mała, ty jesteś jak lira —
jego śladów a piasku żaden wichr nie zatrze.

Nie wierz mu: on jest wściekłym kochankiem Rimbaudów,
tyś jest sercem zgubionym na plaży pochylej;
jego oczy są straszne, twoje — tylko miłe —
on to posąg i duma, i klęska narodów.

Nie płacz, przestań, bo przyjdą jeszcze cięższe noce —
wszak miłość jest cierpieniem, nie fraszką jałową.
Dosyć, kiedy, smakując zamorskie owoce,
usta sobie przypomni, soczystsze nad owoc.

1926



Wileńszczyzna, 1935 r.

SERWUS, MADONNA

Niechaj tam inni księgi piszą. Nawet
niechaj im sława dźwięczy jak wieża studzonna,
ja ksiąg pisać nie umiem, a nie dbam o sławę —
serwus, madonna.

Przecie nie dla mnie spokój ksiąg lśniących wysoko
i wiosna też nie dla mnie, słońce i ruń wonna,
tylko noc, noc deszczowa i wiatr, i alkohol —
serwus, madonna.

Byli inni przede mną. Przyjdą inni po mnie,
albowiem życie wiekuiste, a śmierć płonna.
Wszystko jak sen wariata śniony nieprzytomnie —
serwus, madonna.

To ty jesteś przybrana w złociste kaczeńce,
kwiaty mego dzieciństwa, ty cicha i wonna —
że rosa brud obmyje z rąk, splatam ci wieńce —
serwus, madonna.

Nie gardź wiankiem poety, łotra i łobuza;
znają mnie redaktorzy, zna policja konna,
a tyś jest matka moja, kochanka i muza —
serwus, madonna.

1929

MODLITWA DO ANIOŁA-STRÓŻA

Aniele Boży, Stróżu mój,
do żony mojej steruj
na swej łódce z niebieskiego papieru
i powiedz jej, że kocham ją,
Aniele-Stróżu mój.

Muśnięciem piór w kolędę zmień
troski jej wszystkie ziemskie,
a rozsyp przed nią twoje srebro betlejemskie,
miękkie jak zieleń serce jej
raduj spokojnym snem.

Aniele Boży, uczyń mnie
choćby niskim progiem,
ale szkarłatnym pod jej stopy drogie,
i w próg tchnij śpiew na chwałę stóp,
Aniele-Stróżu mój.

1933

NA PRZEDWIOŚNIU

Od zachodu wieje wiatr,
od Ronsarda, od Boccaccia,
a też od Kochanoviusa.

Do pieca, Floro, podkładaj,
a ty wiosnę opowiadaj
jeszcze trwożną, sancta Musa;

Euterpe, w tym Aninie
powiedz, żeć czas nieźle płynie,
gdy ranek jak woda lustry!

i gdy zawiewa Fávoni,
że miota z rozwartej dłoni
Gałczyński wiersz, Bałtyk bursztyn.

Nuże, Musa, nuże, nuże!
opowiadaj, iż kałuże
światłem kupczą, srebrem kałuż;

a gdy pan swój oremus
zakończy, ty, Floro, jemu
z wieprza kotlet w miskę nałóż.

Mnie wieprz, tobie wichura,
muza moja złotochmura,
chwalę twe liściaste zgłoski,

gdy wierszem jak okowita,
polskim wierszem wiosnę witam
z Kasprowiczem, z Kochanowskim.

SEN ŻOŁNIERZA

Płynie w łodzi zielonej...
ach, do domu tak blisko!
chwila jeszcze i schyli się
nad córeczki kołyską.

Żona zaklaszcze w dłonie,
jak ptak do furtki pomknie —
zaczerwienia się mocniej
na klombach pelargonie.

Przy furtce pocałunki,
przy furtce lzy rześiste...
Jak cicho! Córka śpi.
Dzięki Ci za to, Chryste!

— Matka zdrowa? — Zdrowiutka.
Ot, wszystko po dawnemu.
Co było — przeminęło,
dziękować Najwyższemu!

— Głodnyś? — Nie, nie! nie trzeba.
— A może chcesz herbaty?
— Nie, nie. Daj się zapatrzyć
w ciebie, w dziecko i w kwiaty.

1939



Obóz jeniecki w Altengrabow, 1943 r.

LIRYKA

Śmierć? Proszę bardzo.
Ale dużo dam za to,
żeby chodzić po mieście
bez kłopotów nareszcie
i nucić „Walc piętnasty“ Brahmsa

pod oknami, gdzie cynerarie
piosnkę skandują rzewną,
oświetlone światłem od wewnątrz,
cynerarie jak halucynacje,

którymi (halucynacjami)
wewnętrzna ciemność południa
powoli się zaludnia,
gdy się człowiek zagapi —

jakby nie można było
wreszcie bez krzywych linii
życia ułożyć miło,
po prostu, tak jak inni.

A podobno świat już zielony,
kobiety pieką ciasta;
i łamią dziobami wrony
gałązki na nowe gniazda.

1948

O K. I. GAŁCZYŃSKIM

Twórczość Gałczyńskiego — budząca entuzjazm wielu i sprzeciwu nielicznych — należy bez wątpienia do najoryginalniejszych zjawisk w polskiej poezji współczesnej. Także i on mógłby powiedzieć o sobie za Leśmianem: *ja to jestem ja!* Wyobraźnia sterowała od pierwszych wystąpień literackich artystyczną osobowością, w której liryczne wzruszenie współżyło zgodnie z groteską, żartem poetyckim, eksplodującym humorem. Dotąd jeszcze krążą o nim dziesiątki anegdot: znamy je, była to postać — postać bardzo zresztą warszawska — zjednująca sobie z miejsca przyjaciół i admiratorów.

Pierwszy jego opublikowany utwór — *Porfirion Osielek* czyli *Klub Świętokradców* — to polski krewny *Pana Piórko* (*Plume*) *Henri Michaux*. Utwory te pisane były niemal równocześnie i wywodziły się z podobnej atmosfery powojennych niepokojów, zachwiania się wartości społecznych z *la belle époque*, daremnego szukania dla siebie miejsca w nowym świecie. Mówi się czasem o „Zielonych Gęsiach” Gałczyńskiego, że były pierwszą jego kompletną realizacją surrealistyczną. W rzeczywistości elementy surrealistycznego humoru od początku znajdowały się w jego poezji i tekstach prozatorskich, przetworzone jednak, podporządkowane wizji, która zresztą, jeśli idzie o *Klub Świętokradców*, okazywała także pewne pokrewieństwa z *Operą* za trzy grosze *Bertolta Brechta*.

Gałczyński wstępował w latach trzydziestych do poezji polskiej jako nowa osobowość, która, niewiele mając wspólnego z poezją skamandrytów, nic prawie wspólnego nie miała także z pedantyczną oschłością awangardy. Ulubieni poeci: *Horacy*, *Villon*, *Dante*, *Kochanowski*, *Szekspir*, *Mickiewicz*, *Puszkina*, *Goethe*, *Burns*, *Norwid*, *Rimbaud*, *Apollinaire*, *Błok*, *Jesienin*.

Dodać by trzeba jeszcze dzieło Rabelais. Ulubieni muzycy: Bach, Beethoven, Vivaldi, przypuszczać można że także Ma-chaut i twórcy *Ars nova*. Ulubione malarstwo: Bosch, Cra-nach, Rembrandt, Breughel. Całe życie noszone marzenie o Ra-vennie. Wreszcie barok, styl najwyższej wolności artysty. Oczywiście, ten poeta nie mógł liczyć na życzliwość teoretyków dawnej awangardy. Zwłaszcza, że do poezji nie odnosił się z synowskim szacunkiem, lecz raczej z fantazją wesołego aman-ta; sam się przedstawiał jako „poeta, łotr i łobuz“; zjawiska i sytuacje świata traktował od czasu do czasu, nierzadko, jako „sen wariata śniony nieprzytomnie“, sen nie wolny zresztą od katastroficznych przerażeń. Poematy i wiersze, jakie ukaza-ły się w okresie 1929—1930 (m. in. poematy *Końiec świata* i *Ludowa zabawa*) zwróciły jednak ku tej anarchicznej indywidualności uwagę krytyki i czytelników. Były to na ogół wiersze dostępne i muzyczne, pełne obrazów o zaskakującej ekspresji i niespodziewanych skojarzeniach; ich głęoka lirycz-na pulsacja słyszalna była także w drwinie autora *Końca świata* i groteskowych sytuacjach, które piętrzył z upo-dobaniem także w życiu codziennym.

Napisał przecież jedno z najpiękniejszych liryków miłosnych swego czasu, napisał je niemal na samej granicy realności, za którą zaczynają się sen i baśń. Był oddzielny, sam ze swoją pracującą wyobraźnią, zafascynowany „ludową zabawą“, jar-marczną poezją, magią linoskoków i małych kin na przedmieś-ciach, seansami kuglarzy, szarlatanów i wróżbitów. Był w pe-wnym sensie z tradycji Villona, Rabelais i ludowej poezji sowizdrzalskiej. Zrywanie z patetyką mowy poetyckiej, jakie rozpoczęli skamandryci oraz, ze swej strony, poeci awangardy, doczekało się w jego dziele jeszcze jednego uzupełnienia, zresztą równie kapitalnego jak niespodzianego. Jego twórczość także w tym sensie była, jak powie po latach w *Pieśniach*, „ru-chem ku sercu człowieka“, codzienne sprawy ludzi mało kiedy traktowane były w poezji równie serdecznie i naturalnie. Przed-wojenny epizod jego życiorysu — w ostatnich latach przed wojną związał się z tygodnikiem „Prosto z mostu“ i środowi-skami skrajnej prawicy — do dziś budzi najżywsze polemiki. Jesienią 1939 roku epizod był zresztą skończony: po kampanii

wrześniowej — pozostał z niej także wiersz Gałczyńskiego o obrońcach Westerplatte, jeden z najświetniejszych dokumentów poezji wojennej — autor *Balu u Salomona* znalazł się, jak wiemy, w niemieckim obozie jeńców, przesiedział w niewoli pięć lat, do końca działań.

Wznowił swą twórczość w kraju, po wojnie i ciężkich doświadczeniach stalagu. Odnalazł swoją młodą sławę, pisał wiele, celował w społecznych i obyczajowych satyrach, które dzisiaj już nabierają wymowy utworów klasycznych. Pierwszą jego własnością pozostawała jednak liryka, której autorstwa nie sposób nie rozpoznać, poezja miłosna o niepowtarzalnej wibracji, wiersze poświęcone oczyszczającej sztuce, barwom i światłom ziemi, „zaczarowanym dorożkom“ znajomych miast. Wiersze te należały do najpopularniejszych po wojnie i — krzyżując się z tradycjami awangardy — wywarły duży wpływ na młodzież. Dotyczy to także poematów — zwłaszcza *Niobe* i *Pieśni* — w których żywiołowy talent poety, ożywiony pragnieniem trwałości i ocalenia od zapomnień swego „śladu na drogach“, wyraził się w swoistej sumie poezji Gałczyńskiego.

Pieśni zwłaszcza, z ich norwidowskimi echami, mrocznym szlifem przeczucia, przedśmiertną powagą i niepokojem zamysłonego bohatera wesołych poetów Warszawy, rygorystyczną dyscypliną formalną, stały się syntezą tego świata światła, rozpaczliwej miłości i muzycznej włóczęgi po nowoczesnym świecie. Był to zarazem wielki testament poety z linii *villonowej*, być może jednego z ostatnich, jakich znaleźmy.

Z poematu: WIT STWOSZ
IV. SUPLIKACJE

Piotrze Breughel! Giotto! Dante! Serce Van Eycka
czworolistna gwiazdo rozświecona,
a przyjmijże do swego grona
mistrza Wita, biednego człowieka.

Oto jego całe bogactwo:
ta drewniana klacz, pies, co nie gryzie,
to jaskółcze ziele, a jest i ptactwo:
sowa, sówka, a i małpka na fryzie.

Niech mu tedy oręduje ta sowa,
ptak Pallady z okiem jak zarzewie,
on ją także pięknie wysnycował
w śpiewodrzewie, w skrzypcowym drzewie;

i ta sówka niech prosi za nim,
byście wzięli go do swej kompanii,
i te drzewiny w Otchłani,
i ten dzbanuszek w Zwiastowaniu.

Wszystkie gwiazdki najczystsze,
też przemówcie za mistrzem:
niech go wezmą w ramiona z ochotą
Breughel Piotr, Dante, Van Eyck i Giotto.

1951

PAŃSTWOWE TEATRY DOLNOŚLĄSKIE
Jelenia Góra — Wałbrzych

KONSTANTY ILDEFONS GAŁCZYŃSKI

SZEKSPIR I CHRYZANTEMY

estrada poetycka

Układ i reżyseria:
Zdzisław Grywałd

Tło sceniczne:
Wanda Czaplanka

Opracowanie muzyczne:
Bogdan Dominik

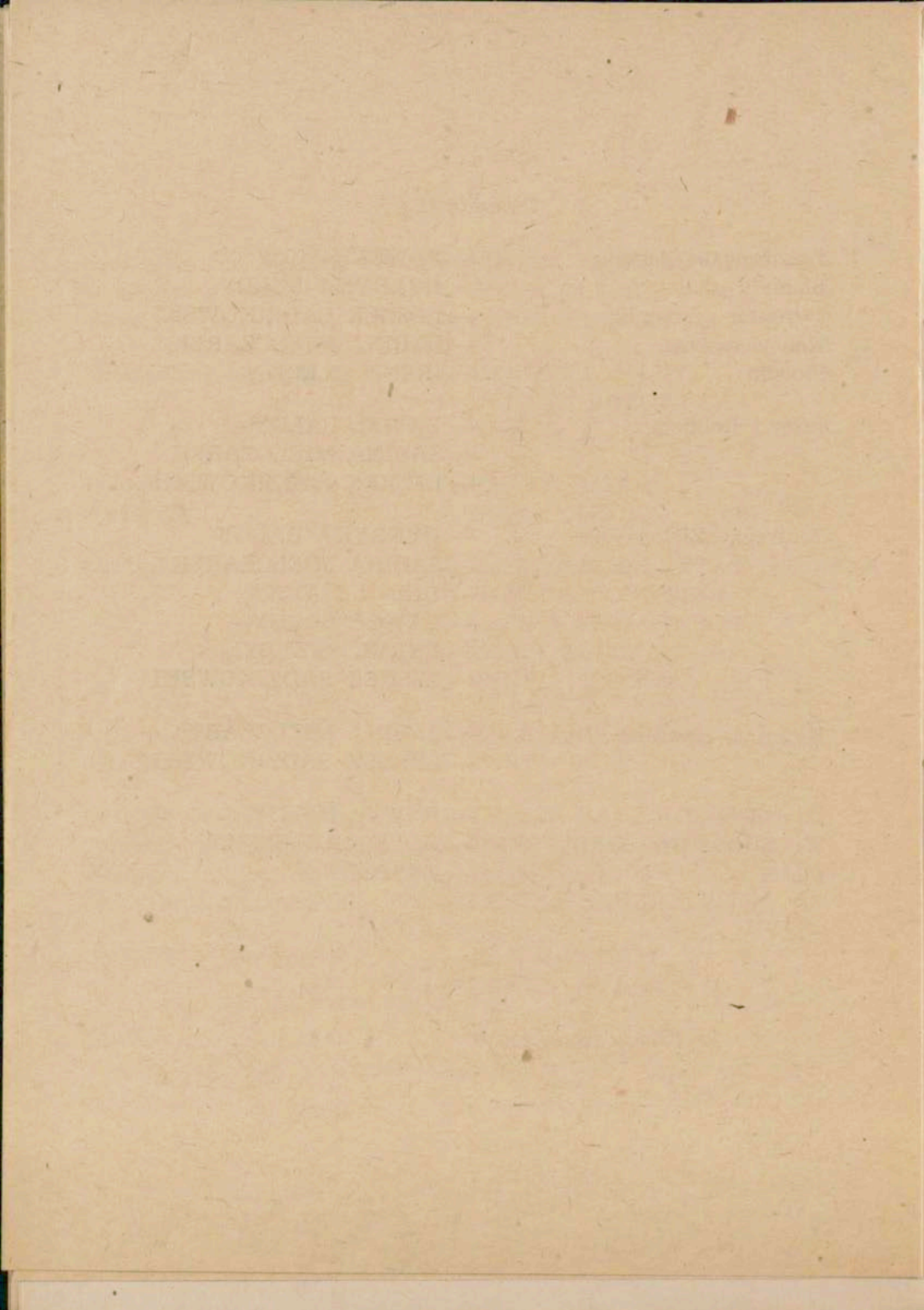
Premiera w Lubomierzu, luty 1963 r.

Część I

Szekspir i chryzantemy	— LESZEK SADZIKOWSKI
O naszym gospodarstwie	— IRENA OLECKA
Wizyta	— HENRYKA BALDY
Już kocham Cię tyle lat	— HENRYKA BALDY
	— DANUTA BOROWSKA
Polowanie z sokołami	— PAWEŁ BALDY
Farlandia	— IRENA OLECKA
Noctes Aninenses	— HENRYKA BALDY
	— DANUTA BOROWSKA
	— SABINA MIELCZAREK
	— IRENA OLECKA
	— CYRYL PRZYBYŁ
Inge Bartsch	— BOLESŁAW SMELA
List jeńca	— CYRYL PRZYBYŁ
Srebrna akacja	— LESZEK SADZIKOWSKI
Na śmierć Esteriny	— DANUTA BOROWSKA
Kolczyki Izoldy (fragment)	— PAWEŁ BALDY
Przed zapaleniem choinki	— LESZEK SADZIKOWSKI
Spotkanie z matką	— PAWEŁ BALDY
	— CYRYL PRZYBYŁ
Wielkanoc J. S. Bacha	— BOLESŁAW SMELA

Część II

Zaczarowana dorożka	— PAWEŁ BALDY
Słońce i osioł	— HENRYKA BALDY
Dyrektor i pomnik	— LESZEK SADZIKOWSKI
Koń w teatrze	— SABINA MIELCZAREK
Słowiki	— IRENA OLECKA
Listy z fiołkiem	— PAWEŁ BALDY
	— SABINA MIELCZAREK
	— LESZEK SADZIKOWSKI
Teatrzyk „Zielona gęś”	— HENRYKA BALDY
	— SABINA MIELCZAREK
	— IRENA OLECKA
	— PAWEŁ BALDY
	— CYRYL PRZYBYŁ
	— LESZEK SADZIKOWSKI
Hymn do Apollina	— SABINA MIELCZAREK
	— LESZEK SADZIKOWSKI
Romancerro	— PAWEŁ BALDY
Wit Stwosz (fragment)	— BOLESŁAW SMELA
Pieśni	— ZESPÓŁ



PIEŚŃ POLSKICH GWIAZD

1. T

Mówię do gwiazd: — Cudowne,
nie przeszeicie się, przystanicie.
I stały pod oknem
jak wędrowni muzykanci.

2.

Popatrzysz ku sobie,
złota brew zgięta jedna
i — ^{zadzwoniła} ~~głuchnęła~~ w ogrodzie
sierpnia kwartet, pieśń gwiazdona.

3.

~~Waża ^{blyson} zagrodo kogutem
tęcza, ^{polnie} lśnienie, obrotkiem
Poloka, wywoka, miedź
gwiazdy ^{zagrany} ~~zagrany~~ wysokie.~~

TEATRZYK ZIELONA GĘŚ
ma zaszczyt przedstawić

„DYMIĄCY PIECYK“

Występują:

Chór Polaków
Dymiący Piecyk
Osiołek Porfirion
i Dzwony

CHÓR POLAKÓW
(*basem, wierszem*):

My tu od wieków stoimy,
a ten piecyk ciągle dymi.
Czy to w lecie, czy też w zimie
piecyk dymi, piecyk dymi,
ach, geopolitycznymi
racjami jesteśmy wyni *)

DYMIĄCY PIECYK

O, biedny, biedny jam piecyk,
od wieków te same rzeczy.
Od tej ściany do tej ściany
cały piec zaczarowany,
więc czy to w lecie, czy w zimie
dymem natrętnym dymię
i nic się, ach, nic nie zmienia,
a ci Polacy modlą się i grają Szopena,
och!

*) szczeni.

CHÓR POLAKÓW:

Cudu! Cudu!

„Jak jarmużu bedłki“ (?)
tak cudu pragnie lud.

OSIOŁEK PORFIRION

(z narzędziami):

Nic nie rozumiem. Nie ponimaju. I do not understand
*wynosi popiół, czyści rury, czyli wykonuje kilka prostych
czynności zduńskich)*

PIECYK:

(przestaje dymić)

CHÓR POLAKÓW:

*(natychmiast z radości pogrąża się w pijaństwo i dzwoni
w dzwony)*

DZWONY:

Bum-buum tedeuum!

CHÓR POLAKÓW:

(konkluzja)

Nasz piecyk cudem zreparowany,
lecz Osiołek Porfirion to gość podejrzany.

(biją Porfiriona)

Kurtyna

Obywatelu Redaktorze!

Poezja to jest złoty szerszeń,
co kąsa, więc się pisze wiersze —
cóż, człowiek pisze tak, jak może,
Obywatelu Redaktorze.

Jesień jest na Krakowie dzisiaj
i tyle kwiatów, tyle brzoskwiń.
Wiaterek dmucha, słońko skrzy się,
więc chodzę śliczny i beztroski —
cóż, człowiek chodzi tak, jak może,
Obywatelu Redaktorze.

Czy mam zmartwienia? Tak, czasami,
niewielkie, tak jak w niebie gwiazdy,
właściwie jedno (między nami),
że życie ukochałem nazbyt —
cóż, człowiek kocha tak, jak może,
Obywatelu Redaktorze.

Więc kiedy przyjdzie dzień przeklęty,
że śmierć utopi w czarnym winie
wszystkie muzyczne instrumenty,
kwiaty i wiersze, i brzoskwinie,
to przykro, lecz cóż płacz pomoże,
Obywatelu Redaktorze.

A jednak żal. Odejść nie łatwo.
Taak. Kończę wiersz ten ze łą w oku.
Lecz może, dzięki mym kontaktom,
będę aniołkiem na obłoku?
Cóż, człowiek fruwa tak, jak może,
Obywatelu Redaktorze.

Karakuliambro



Rysował: Jerzy Zaruba

O poezji napisano dużo. Wiemy dziś, rozumiemy wiele spraw towarzyszących powstawaniu zjawiska poczynając od roli społecznego podłoża, a kończąc na złożonych sprawach techniki artystycznej. Istota zjawiska przecie pozostaje trudna do wytłumaczenia. Ba, najbardziej wymowne, najbardziej szczegółowe opisy, gruntowne analizy powodują niekiedy, iż to, co stanowi o istocie odczuwania poezji, staje się nieobecne jak życie w zwłokach, na których dokonuje się sekcji. W istocie poezji leży poryw namiętności. Znajdziemy ten pierwiastek w pasji bojownika rzucającego się w walkę. Znajdziemy go w żywiołowym ruchu dziecka, w jego dążeniu do poznania, opanowania zjawisk świata. Znajdziemy go w miłości, w porywie, który rzuca ku sobie dwoje ludzi, i w świadomym porywie badacza, torującego nieznane dotąd ścieżki poznania, w porywie mas dążących do wielkich celów społecznych. Możemy analizować psychologię walki, możemy wyjaśniać i opisywać psychofizyczny mechanizm porywu miłosnego, ale przez to jeszcze nie oddamy istoty owych spraw. Istotą poezji pozostaje namiętny poryw ogarnięcia w jakiś sposób powszechności zjawisk. Nie da się jej sprowadzić li tylko do kategorii dobra czy piękna — jej przedmiotem wszystko co ludzkie, dobro i zło, zbrodnia i skrucza, okropność i piękno, wulgarność i wzniosłość, patos i groteska, oddanie zjawiska w jego realności i w przeinaczeniu.

Poezja to sprawa rzadka i pospolita zarazem jak życie. Mamy ją u Homera, który znał i opisywał sprawy ludzkie i życie bogów na Olimpie, u Dantego, który wędrował po zaświatach.

Ale znajdziemy ją też u andrusa, opiewającego wdzięki ulicznicy, w zawadiactwie pieśni tanecznej i w pijackich pokrzykach. Sprawa, którą, choć rzadko, znaleźć można i w uczonych wytworach akademickich rymopisów. Można się jej uczyć, choć jest w niej coś, czego się nigdy nie nauczą naprawdę: fantazja, zda się, urojenie, ale przy tym kruszec, ruda naszego życia.

W swym przemówieniu na pogrzebie Jarosław Iwaszkiewicz rzekł pięknie — jak tylko poeta może powiedzieć o poecie — o zdolności uszczęśliwiania, która towarzyszyła Gałczyńskiemu. Powiedzenie to utrafia w sedno oddziaływania poezji Gałczyńskiego jak w ogóle wszelkiej poezji prawdziwej. Złożyła też ona w niejednym daninę ciemnej, przewrotnej stronie wielkiej epoki, w której żyjemy. Zdolność uszczęśliwiania, pasja uszczęśliwiania ludzi tkwiła w tej twórczości. Owa zdolność uszczęśliwiającego zniewolenia przenosiła czytelnika, słuchacza w świat piękna, pogrążała go w potoku piękna oczyszczającym i uszczęśliwiającym.

Człowiek, który to uczynić potrafił, miał wielką namiętność nie tylko tworzenia rzeczy pięknych, ale i tworzenia dobra, porywania, prowadzenia ludzi ku dobru. Gałczyński wierzył w harmonię pięknych kształtów, obrazów, dźwięków — choć potrafił też dostrzec w sztuce nie tylko sprawy piękna. Widział w niej nieskończone możliwości podnoszenia człowieka, prowadzenia go do lepszego jutra ludzkości. Poznał i zrozumiał związki piękna z pracą, z czarnym trudem fizycznym, którym wzgardzili przemądrzali esteci i pięknoduchy. „To trud zrodził urodę“ — te słowa z poematu o Wicie Stwoszu stanowiły hasło twórczości Gałczyńskiego, zwłaszcza w jej fazie ostatniej. Trud, któremu poeta oddał swą świadomą wolę, siłę umysłu i wspinały dar twórczości.

Andrzej Stawar

(„O Gałczyńskim“ — fragment
Czytelnik — 1959)

KOŃ W TEATRZE

Na próbę generalną satyrycznego programu
przez pomyłkę do konia zaproszenie wysłano,
że mamy zaszczyt et caet., że bardzo dobre miejsce,
koń przyjechał, ale się spóźnił, żeby zrobić tzw. wejście.
Woźni nie chcieli go wpuścić, aliści rzecz woźny do woźnego:
— Szkoda leż, ja uważam, że lepiej go wpuścić, kolego,
niby ta grzywa i rzenie, a może to nie jest byle kto?
na oko koń, a w gruncie rzeczy może to jaki dyrektor;
życie jest pełne pozorów, na pozór czasem koń czy zając,
człowiek nie wpuści, a potem nieprzyjemności wynikają.
I tu schylili głowy. Koń się znalazł w teatrze
i przeszedł przed pierwszym rzędem na znak, że on czynnie
i także.

Przez cały czas przedstawienia stał głową do widowni
obrócony,
tam coś śpiewali, a on stał (z kopytem na poręczy) i tylko
rozdzielał ukłony
bezbłędnie, stosownie do osoby, raz serdeczne, raz nikłe,
jakby powiedział Lukrecjusz: suum cuique.

W antrakcie kilku redaktorów poprosiło go o poemat
(ew. pt. „Indonezja“),
ponieważ koń opanował w mig wyrażenie „koncepcja“
i siał nim na wszystkie strony, czasami dodając „aspekt“,
ihahahahaha koncepcja, ihahahahaha aspekt.
Ktoś go sfotografował, ktoś go nakręcił, dla kina,
albowiem, co tu gadać, koń to rzecz sensacyjna.
A w finale programu na scenie była namalowana trawa.
Koń skoczył. I trawę zjadł. I dostał największe brawa.

1953



*K. I. Gałczyński recytuje wiersz, Kraków 1946 r.
(fot. H. Hermanowicz)

Pieśni
(fragment)

IV

Oto jest nasz dzień codzienny,
nasze małe budowanie,
trud uparty i niezmienny,
nieustanne kształtowanie.

Słońce wschodzi i zachodzi,
drzewa kwitną, liście ronia,
my strumień rzeczywistości
kształtujemy naszą dłońią.

Jesteśmy częstką w zespole,
z niego płynie nasza siła —
żeby chleb leżał na stole,
a pracom lampa świeciła;

by czas jak pochodnia płonął
jednako: dzień czy mgła nocna.
Stoimy przy życiu, żono,
jako tkacze przy swych krosnach.

Z dnia na dzień tkaninę tkamy
wzorzystą dla pokolenia.
Chciałbym i blask naszej lampy
ocalić od zapomnienia.



Biblioteka poety

(fol. L. Sempoliński)

Pieśni
(fragment)

X

Wybaczcie mi, ludzie, jeśli
w tych pieśniach dałem tak mało,
że nie takie niosę pieśni,
jakie by nieść należało;

że tyle tu tych piękności,
ptaków, różnych pobrzękań,
złocistości, srebrzystości,
księżyców, Bachów i światła.

Cóż, kocham światło. Promieniem,
jak umiem, wiersze obdzielam,
O, gdybym mógł, to bym zmienił
cały świat w jeden kandelabr.

Myślę, że po to są wiersze,
ich ruch ku sercu człowieka,
by szerzej szła, coraz szerzej
przez kontynenty jutrzeńka,

światłami po wszystkich placach,
światłami w każdej ulicy,
ta Eos różanopalca
z dumną twarzą robotnicy.

Jesteśmy w pół drogi. Droga
pędzi z nami bez wytchnienia.
Chciałbym i mój ślad na drogach
ocalić od zapomnienia.

1953

W ramach Estrady Poetyckiej Państwowych Teatrów Dolno-
śląskich odbędą się wieczory poezji poświęcone twórczości:

Konstantego Ildefonsa GAŁCZYŃSKIEGO

Bolesława LEŚMIANA

Federico GARCIA LORKI

Włodzimierza MAJAKOWSKIEGO

WYDAWCA:

PAŃSTWOWE TEATRY DOLNOŚLĄSKIE
JELENIA GÓRA — WAŁBRZYCH
Redaguje: ZDZISŁAW GRYWAŁD

Cena zł 3.—

Druk Zakł. Graficzne RSW „Prasa” Wrocław.
Zam. 3770/62. S-4/37.